

Krzysztof Lisowski

Ze Stanisławem Czyczem rozmawia Krzysztof Lisowski.

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (32), 195-205

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Rozmowy

Ze Stanisławem Czyczem rozmawia Krzysztof Lisowski

Od paru lat starałem się namówić Stanisława Czycza na rozmowę o jego twórczości, poglądach na życie i literaturę. Miałem nawet swego czasu wyraźne zamówienia kilku czasopism na tego rodzaju materiał. Czycz jednak nie chciał, za jakiś czas powiedział, że się zastanowi, potem już się zgodził, potem znów nie chciał – tak to trwało, więc napisałem i dałem mu parę wstępnych „pytań problemowych”, żeby je w chwilach tej ulotnej zgody przeglądał, z nadzieją, że się zdecyduje, czy choćby napisze odpowiedzi. Tak mijaly miesiące, aż wreszcie, któregoś dnia – obydwaj mieszkamy w Krakowie, więc przelotnie się widywaliśmy – powiedział mi, że się zgadza, jeśli ja jeszcze nie zrezygnowałem. Przeszedłem do niego, rozmawialiśmy. Potem on uzupełniał odpowiedzi. Gdy dałem mu maszynopis tej pierwszej rozmowy, rozbudowywał ją. Tak było podczas kolejnych spotkań – czasem wystarczały jego krótkie wizyty w Wydawnictwie Literackim, dokąd zachodził do mnie w drodze po zakupy na Kleparzu. Zapamiętywał wtedy moje nowe pytania i wątpliwości dotyczące na ogół jego uzupełnień. Zmieniał coś, potem zgadzał się z moimi uwagami, albo przy czymś się upierał i zostawało, jak było wcześniej, ewentualnie coś jeszcze dopisywał. Ta nie określona w żadnej bliższej perspektywie czasowej rozmowa-rzeka, przerywana nawrotami depresji Czycza, trwa nadal.

Poniżej cytuję jeden z jej obszernych fragmentów sprzed dwóch lat. Stosuję oryginalny, e m o c y j n y zapis naszej roz-

mowy i takąż interpunkcję (którą rządzi rzeczywisty rytm oddechu, a nie reguły dyktowane przez słowniki ortografii).

Stanisław Cycz: Od czego to zacząłeś?

Krzysztof Lisowski: Że jesteś wybitnym...

C: Tak... I co dalej?

L: Na przykład, że wydałeś ostatnio książkę *Nie wierz nikomu*, bardzo dobrze przyjętą przez czytelników...

C: Pomyślałem, dawno temu, że muszę sobie wymyślić jakiś tak zwany pseudonim literacki, gdy jeszcze nie zdechłem, a na życie trzeba zarabiać, miałem wprawdzie inny fach ale miałem już dość kopania dolów pod słupy i rowów pod kable czy grzebania w płataninie drutów i nieraz mnie któryś pieprzył gdy nie chciało mi się wykręcić bezpieczników, to więc wlec mogę w fachu bazgrania, trochę przeze mnie już opanowanym, ale ten pseudonim, otóż nie chcieli mi tak drukować, bo niestety miałem już jakieś to nazwisko tak zwane, francowate, udało mi się przez jakiś czas w wiejskim tygodniku „Wieści”, coś jak felietoniki, a w „Przekroju” musiałem pod swoim nazwiskiem, i tylko taką tam rubrykę „Fotografia jest sztuką trudną” mogłem podpisywać wymyślonym „Michał C. — fotoamator”; krótko mówiąc: pisanie, moje nie jakiegoś Michała C. czy Staniola z tych „Wieści”, a zapomnijmy tu, ja chciałbym zapomnieć, tamto moje nazwisko przy opowiadaniach pisanych dla „Przekroju” zebranych potem w książce *Nim zajdzie księżyc*, moje pisanie skończyłem w roku 57, i z pół roku później jeszcze jeden tekst, dopełniający tamto, i potem trochę uzupełniany, nie drukowany do dziś. A i jeszcze: w roku 58–59 chciałem tak jednym tchem napisać coś ostatnie zatytułowane *Ajol i Laor*; zacząłem i po paru miesiącach musiałem przerwać; tak rozpędzony tym pisaniem, tak mi się w roku 60–61 dołożyło jeszcze coś, tak rozpędzony zapomniałem o rzeczywistości, tej mojej francowatej; z pracy w Krakowskich Zakładach Kamienia Budowlanego, filii tych KZBK w Krzeszowicach gdzie mieszkałem, zwolnili mnie wkrótce po upływie czasu Nakazu Pracy, były takie Nakazy, wywalili mnie no dostałem wymówienie z miesiąc wcześniej; nie dziwne, za bardzo tam

już dawałem w dupę a i trochę się mnie bali wiedzieli że coś piszę i jest to drukowane, jakieś gówno bo gówno, sądzili, ale drukowane w gazecie, nie wiedzieli że miałem wydrukowaną już i książkę ten tomik wierszy, może o tym jeszcze powiem, to miało być w drugiej części książki którą wspomniałeś, zresztą jest, bo tę drugą część napisałem od razu z pierwszą, ale były trudności z wydaniem... e duperele... a całe to miało za motto cytowaną wypowiedź Stalina o bazie i nadbudowie.

L: Nie, to Marksa; miałem przecież na studiach marksizm, to wiem...

C: Niewykluczone... ale ja miałem lepsze studia... w liccum, jeszcze za życia Stalina... wtedy wszystko jego... gdyby im pasowało jakieś zdanie Platona też byłoby podane jako Stalina... a zdanie o bazie i nadbudowie, ten sens, to przecież banał... i coś tak oczywiste, i to od zarania dziejów, że nikomu nie chciało się tego nawet formułować, oto jedno z tych wielkich „odkryć” Marksa. Stalin pewnie też tak uważał i gdy mu to zdanie było potrzebne podał jako swoje... też bym tak zrobił... no więc to zdanie miało być mottem tej książki, stąd podtytuł „baza” pierwszej części i „nadbudowa” drugiej, pracę na tym Nakazie zacząłem w Bazie Remontowo-Produkcyjnej Krakowskich Zakładów Kamienia Budowlanego w Krakowie, naprawdę, to nie zmyśłone, mieściła się ta Baza na Podgórzu przy ulicy Nadwiślańskiej 9... e znowu gówna...

L: Nie zamierzasz tej drugiej części wydać teraz?

C: I dobrze, że gówna, bo w ten sposób jestem na powrót przy pisaniu, tym moim, genialny świetny łuk, zatoczony gównem, jestem na powrót młody, w tamtej mojej rzeczywistości, gównianej, o której gdy wtedy zapomniałem to ona mnie bęcnęła w pysk i w brzuch, żarcie... zapomniałem że jestem przede wszystkim zwierzęciem a dopiero potem mogę być tym podfruwającym duchem no tą całą psyche, stoi ta psyche na somie niestety, jak kwiatuszek rozkwitający na badyłu zatkniętym na użyźnianym gównem gruncie, nagle mi brakło tego... podłoża... pojechałem do Krakowa do Oddziału ZLP z prośbą o stypendium, prezes mi na to powiedział że ZLP nie jest instytucją charytatywną, że muszę podać na co konkretnie potrzebuję forsy,

wymienić tytuł książki nad którą pracuję i określić jej treść i co tam jeszcze i wtedy moja prośba może być rozpatrzona... Książki... i jej tytuł... miałem w dupie książkę, pisałem nie książkę lecz jakieś moje coś, ważne dla mnie, nie wiedziałem co... czyli że gówno z forszy o którą upokarzająco prosiłem... musiałem szukać jakiejś roboty zarobkowej, znajdowałem różne, całe lata tak... E, pieprzyć... trudno... przerwałem... frunięcie... to, co miało być ostatnim moim, kończącym... i nie skończyłem... i nie wrócę już w to... ale mówiąc to, podfruwam... dobrze... i jeszcze chwilkę, krótko jeszcze co to jest to moje, skończone a i przerwane kiedyś tam, lata temu, są to cztery umownie nazywane wiersze cyklu *Słowa do napisu na zegarze słonecznym* i początek tego czegoś zatytułowanego *Ajol i Laor* gdzie między innymi jest *And*. A i jeszcze: ten wspomniany przedtem tekst dotąd nie drukowany, co byłby numer dwa drugiej części wymienionego tu cyklu, ta część też składałaby się z czterech kawałków. To wszystko. Ale muszę jeszcze, jeszcze chwilkę... frunąć... To takie bajanie że się coś... E, zaraz... bo potem zapomnę a nie chcę już wracać w to... czyli otwieramy tu nawias: — ja się zresztą i bałem... więc ten nagły brak forszy na żarcie przyszedł jak pomoc... ocalenie... bałem się między innymi że zwariuję... ale gówno i to... to byłoby nawet ciekawe... lecz *Laor* to miała być zagłada już wszystkiego... czy podołam? i czy nie braknie mi sił? tych zwyczajnych zwierzęcych, a nie odwagi, pieprzonej, tę miałem, i aż w nadmiarze... zagłada nawet strachu... co we mnie w tym rozpędzonym pisaniu na razie narastał... zagłada spokojna zimna na ile to możliwe... iść do końca do nic... spokojnie... już i tak nic nie było zewnętrznie biorąc... ale to za mało... tam w tym wstępie do *Laora*, źle jest podtytuł że fragment, nie, to cały wstęp, tam gówno jest ból fizyczny, a psychicznego już dużo wcześniej nie ma, i gówno jest śmierć, on, ten tam, on ktoś, mógłbym to być ja?... może nie, bo ja go prowadzę... albo jest to ja-on... on tam jest już prawie spalony... gówno mu to, i to, i to że zaraz padnie... lub wyparuje w błysku jeszcze bliższego wybuchu nuklearnego... on siebie—jego spokojnie prowadzi, mówi; przeprowadzę cię i nie śmieję się, nie ze mną się bawić, a gdybyś się śłaniał lub odwracał przytrzymam cię mocno lub jak będę mógł... nie ze mną się bawić mówi do siebie—niego głupiego rozbawionego jak te przed chwilą w jego myśleniu mówieniu słyszane dzieci w zabawie w króla—Lula i mówi to zarazem do tych co go jak te dzieci wciągnęli w zabawę nuklearnymi błyskami i grzmoceniami ubliżyli mu

traktując go hecami na gust chama i dalej jeszcze go tym traktują choć już tylko grzmoczeniami bo on nie ma już oczu już wypalone, przeprowadzę cię przez to, mówi do siebie–niego spokojnie jakby nic się nie stało i się nie stanie gównu mu wypalone oczy i gównu mu śmierć która on wie o tym nastąpi zaraz a więc nie ma śmierci jest życie i na całe życie zdrowie jak mówił przedtem o korzyściach z gimnastykowania się obojętne mu i spokojne i gównu mu czy to jego życie będzie trwało jeszcze sto lat czy sto sekund nie śmieję się mówi przeprowadzę cię jeszcze dalej aż do białego i dopiero tam się nie wstrzymasz od śmiechu, zobaczysz tam białe słońko kochane... białe słońko kochane jest z cytowanej wcześniej dziecięcej piosenki; a ja raniutko raniutko wstanę zobaczę słońko kochane... jest tam i inna cytowana piosenka; śpij bo właśnie księżyc ziewa i za chwilę zaśnie... z *Lilli Wenedy* Słowackiego cytowane jest: wszystko skłonione do snu na tym świecie... a kiedy nadejdzie świt księżycowi będzie wstyd że on zasnął a nie ty to dalszy już nie cytowany ciąg tamtej piosenki, tytuł tego wstępu do *Laora* „Posłuchajmy mandolin” jest tytułem piosenki, w której gdzieś tam jest: w ciemną noc słyhać dźwięki mandoliny w ciemną noc chłopiec gra dla swej dziewczyny... ten wstęp to zapowiedź a *Laor* byłby tym chłodnym spokojnym prowadzeniem w to może dalej niż nic... białe... zaświeci jak słońce... nad wodami?... nie, nad nic... prowadzeniem spokojnym zimnym, i lekkim, piosenkowość wstępu jest zapowiedzią i tej lekkości, prowadzeniem zimnym, i lekkim, tanecznym nawet, i pogodnym i roześmianym, zabawowym... na ile tylko byłoby to wszystko możliwe... zamykamy nawias — ...bajanie że się pisze coś tylko dla siebie... stare: sobie śpiewam a muzom... a potem ten miglanc daje grzeczniutko do druku... Co ja mam czy miałem na swoje usprawiedliwienie? Nie idzie tu o te jakby wiersze wspomnianego cyklu. O, te były pisane zdecydowanie z myślą o druku; ta dbałość o kształt formalny, żmudna praca nad znalezieniem tego koniecznego kształtu, cała ta maestria artysty... i były już złożone w wydawnictwie, w roku już 56, znał je czytał jeszcze Andrzej Bursa, były napisane zanim ukazał się mój tomik *Tła*... moje tu chichotliwe: maestria artysty, lecz tak nawiasowo, skądinąd patrząc artyzm, ten trud, ta dbałość o kształt, jest powinnością każdego piszącego, ten fach Norwid bardzo słusznie i trafnie określił: sztukmistrz; i, jak to zwykle u Norwida, sens tego podwójny: mistrz sztuki a zarazem magikowy macher, i kto się bierze za pisanie niech ma korną świadomość

rzemieślniczego a i niekiedy magicznego, z jarmarcznej budy rodem, charakteru tej roboty, niech byle dupek nie struga natchnionego proroka czy innego nawiedzonego, nawet Apokalipsa nie jest bezładnym zanotowaniem wizji, jest tam praca komponowania i inne trudy, w czym i sięganie do tekstów wcześniejszych autorów i nicukrywane ich cytowanie, żaloszny i budzący współczucie biedak kto uprawiając literaturę i to na ogół tę najczystsza papierową łapaną z papierów i póź innych autorów ulepia sobie z tej makulatury portrecik, czy jak się teraz modniej mówi *image*, dzikusa lub obłąkanego i dla tego swojego *image* gotów jest dać swoje życie i czasem naprawdę tak płaci, w niedawnych latach u nas dwaj tacy, jeden to jeszcze pół biedy bo i wiekowo gówniarz, choć trochę zapóźniony, lecz drugi był dorosły chłop i dzikusowato buntując się przeciw papierom pisał i pisał i przedziutko wydawał całe tomy papierowe tego buntu i zakończył śmiercią złapaną z papierów, przenikliwy mądry Czechow, cytuje go Jerzy Stempowski, mówił o takich w Rosji: oni tylko udają chorych i obłąkanych, wszystko to zdrowe chłopcy; no zdrowe nie całkiem gdy tak wyraźnie tknięte bałwanstwem, wtrąć tu ja; nie uważam że pisanie ma być majsterkowaniem na wybrany temat, lecz że nawet obłąd czy szaleństwo, ale nie wykombinowane o jakim mówił Czechow, ma być zanotowane na tyle chłodno i precyzyjnie na ile się da; Lautréamont, naprawdę na granicy szaleństwa i obłąd i trawiony gorączką, mówi o chłodzie i niewzruszeniu, z jakim pisze, i zaprzecza że jest w obłądzie, Rimbaud nazywa zwyczajnie alchemią swoje wariackie między innymi wynalezienie koloru samogłosek i ustalenie formy i taktu spółgłosek i wstępnyimi studiami nazywa zapisywanie milczeń i nocy i notowanie niewyraźnego a i zawrotów głowy i bardzo trzeźwo i rzeczowo doszukuje się wpływu ulubienia starej literatury i niedorzecznych refrenów i książeczek dla dzieci i podobnie idiotycznych obrazów i jarmarcznych bud sztukmistrzów itp. na te swoje halucynacje które określa też magicznymi sofizmatami i jeszcze jakby usprawiedliwiająco dodaje że był nękany ciężką gorączką, Witkacy podobnie rzeczowo i logicznie teoretyzuje swą twórczość na granicy przecież szaleństwa, tego samego co się tli w tych jego logicznych wywodach, jak żarzy się w pozornym skrajnym racjonalizmie Gombrowicza irracjonalizm, wariackim, Bursa gryzmołających tak zwany odważny bełkot nazywa gówniarzami co nie dorośli do szaleństwa, ale powiem muszę choć nie tu o jego czymś co on za szaleństwo nie uwa-

żał, w pół szalonym i w pół obłąkanym był Dostojewski, wszyscy wielcy, co najmniej na granicy szaleństwa, wiemy że Pound, że Joyce, Faulkner, dodałbym Conrad, szaleństwa Norwida, Mickiewicza, Słowackiego, Baudelaire, Blake, anioły Rilkego, cofać się tak można dalej, i tak przez Indy, Persy, Egipt, Greków, mówiąc słowami Norwida, wiemy to, a wiedzą najlepiej te wszystkie zdrowe i przytomne chłopy i stąd udają chorych i obłąkanych, no i naprawdę są chorzy na umyśle, jebnięci bałwaństwem, już to mówiłem... Co więc miałem na usprawiedliwienie, że ten fragment tę część *And* dałem do druku; nie szło mi o forszę, gdyby nawet była duża, nie wiedziałem jaka i było mi to obojętne, potrzebowałem jej gdy jeszcze pisałem a teraz już nie, no ale pozostawała jeszcze sława, nie?... tak mi teraz była potrzebna jak i ta forsa, wcześniej przydałoby się jakieś tam zauważenie mnie umożliwiłoby mi ciągnąć to zaczęte dostałbym może stypendium a teraz?... więc nie to, lecz że minęły ponad trzy lata od śmierci Andrzeja Bursy, *And* było czytelne że to Bursa i ten tytuł jest urwane jego imię, minęły te lata i było o nim cicho, e tam młodo odszedł może i zdolny coś pisał zaczynał próbował nie bardzo mu szło, głośno było o Harasymowiczu, Grochowiaku, Drozdowskim, Białoszewskim, Herbercie, to tam Wyka, Sandauer, Kwiatkowski, Błoński, hałasowali, a tu odszedł ktoś naprawdę wielki, nie poprawiaj mnie, ja o Bursie będę jeszcze mówił, był ktoś naprawdę wielki i tak o nim cicho jakby był nawet nie gówno co przecież jakoś tam istnieje lecz pierdnięcie... ulotne... będę jeszcze mówił o nim, nie o *Andzie*, który choć powiedziałem jest Bursa i dodam że nic tam nie zmyślane, *And* jest jednak, chcę czy nie, literaturą. Ale zaczęłaś o mojej ostatniej książce, tak zwanej mojej jak to ja powiedziałem, lecz gdy się jeszcze trwa trzeba się czymś zająć, obojętne czym, ja tym, mnie konieczne jeszcze jako terapia zajęciowa, jestem od lat pacjentem psychiatrii... no i patrz, miałbym jak znalazł co mniemaniem przytomnych zdrowych chytrych udawaczy synonim wielkości, tyle tylko że mnie do tego fajnego samopoczucia brakuje szurnięcia bałwaństwem, i od razu powiem co, ty to wiesz, depresja, choroba straszna, o tej nazwie bezmyślnie lub bez pojęcia używanej na określenie byle kiepskiego samopoczucia czy chandry, to jak mawianie szlag mnie trafia lub cholera mnie bierze, i na depresję, inaczej niż w innych tych psychicznych, nie ma leków które same by pomogły, trzeba jeszcze coś robić, obojętne co, żeby nie tylko strach i pragnienie śmierci, robić coś a tu wszystko nie jest wyłącznie zero

lecz jest jeszcze odrażające wstrętne straszące przerażające, trzeba znaleźć w samym sobie oprawcę czy tresera który by to wystraszone zniechęcane depresją bydlę zmusił do roboty, czynności jakiegokolwiek (...) najlepiej żeby ktoś wszedł i mnie zastrzelił czy zatłukł młotkiem lub siekierą jak świnie, straszny ten nagle ogołocony pusty czas i straszne minuty chwile godziny czekania nadejścia nocy by móc wziąć środek nasenny, silny że zaraz padałem jak martwy, lecz tę chwilę jeszcze strach bo przecież się obudzę nad ranem i co wtedy, od nowa to samo, niechbym się już nie obudził, no tak, wystarczyłoby wziąć tę za dużą dawkę, ale mogą odratować (...) widzisz co jeszcze: ja trochę wierzę w Boga i jest przykazanie niestety dotyczące też samego siebie: nie zabijaj, i gdy za karę jest piekło, które wprowadzić już znam, tę depresję, ale gdy piekło jest depresja jeszcze większa? niewyobrażalna? podnosiłem się z leżenia, mniej w dzień, lecz z początkiem nocy i idąc jakimiś ulicami czy obok Błoń chciałem żeby mnie kto zabił (...) och nihilistyczne wywody teoryjki poglądy filozofie; śmieszne gówniarstwo przy depresji, ona jest nicości królową, wszystko leciutko zmiata, a powiem jeszcze jak ona, oddalona na jakiś czas, te leki i terapie zajęciowe, powiem może później jak ona powraca; przodem przed nią fanfary; znam te jej powroty, oddalenie na krótko, kilka miesięcy, powrót na lata, wojna z nią nie do wygrania (...) z ogromną odrazą i równie ogromnym wysiłkiem psychicznym podnosiłem to bydlę z leżenia zaprzac do robienia czegoś, mój lekarz, doktor Piotr Drozdowski, którego zasługą jest że jeszcze żyję mówił mi że mam koniecznie znaleźć sobie czy wymyślić jakąś choćby tylko zabawę i dobrze, choć z początku niekonieczne, żeby wymagała czasem jakiegoś wysiłku, mówił mi też, innym razem, poważnie czy żartem, żebyś się w kimś może zakochał, a ja, że nie mam w kim, nietrudno znaleźć on mi na to, a ja że teraz zakochać się to już chyba tylko bez wzajemności czyli nieszczęśliwie, a on, że tym lepiej bo wreszcie wyraźnie dotkliwość z konkretem... umiem naprawiać buty, nawiasem mówiąc ten tam we wstępie do *Laora*... i wynaprawiałem buty jakie tylko miałem, potrzebne i niepotrzebne, to było mało, i zaprząłem to bydlę zaraz do roboty następnej, coś ze spodniami, brakujące guziki... powiedzonko: „zabić czas”, idiotyzm tego, bo przecież wszystko co mamy to tylko czas i roztloną jakimiś pobudkami, i stąd cel, umiejętność wypełniania go, zabić czas to zabić swoje wszystko a to zabić siebie, a gdy nagle odjęty sens tego wypełniania

jakiegokolwiek zgaszone pobudki... tak depresja idiotyzm przekształca w najwyższą i jedyną mądrość i imperatyw... imperator... rozkaz tej królowej jest jeden: zabić... lecz ona jeszcze dodaje: gdy nie chcesz najprościej fizycznym samobójstwem zabij twój czas a to tak samo siebie i tylko wolniej trochę odwlekając, czy długo tak potrafisz, ja poczekam, odsunę się nawet na jakiś czas... i potem wraca... wróci... i jest teraz gdy mówimy tuż za progiem i zaraz gdy wyjdiesz ona już

L: Właśnie, już muszę iść, zrobiło się ciemno, kończmy już ten kawałek naszej rozmowy, przyjdę za parę dni, umówimy się... wrócę... jak depresja... Tę twoją odpowiedź na moje pytanie zrozumiałem w ten sposób, że książki, prócz tych czy tego co określiłeś jako prawdziwie twoje, pisałeś z konieczności zabicia chyba lepiej czasu?

C: Nie wszystkie tak... w zbydlęczeniu i strachu... *Nim zajdzie księżyc* te opowiadania dla „Przekroju” to w żadnej depresji lecz z konieczności zarobkowania gdy chcę jeszcze żyć... ale zaraz, bo ja o tych butach itp., lecz jak dochodziło do robót sensowniejszych, przykład ten ostatni: proponowałeś mi tę rozmowę dawno, nie chciałem, nalegałeś, po jakimś roku zgodziłem się, ale nagle nie mogłem bo depresja, to mi dałeś te napisane pytania, pieprznałem je w kąt i dalej leżałem, a potem te roboty, po butach zabrałem się do szmat, gdy i szmat brakło złapałem się za jakieś porządki tak natrafiłem na te dwie kartki z twoimi pytaniami i je pierwszy raz przeczytałem i rzuciłem ale majstrując przy jakiejś niepotrzebnej półce zacząłem mimo woli myśleć chwilami o ewentualnych moich odpowiedziach i nadchodziły momenty w których mi się wydawało że chyba potrafiłbym, bez żadnego oczywiście zapału, robota tak mi potrzebna jak ta półka, tyle tylko że pewna odmiana, to tak się zaczęło... dalej wiesz... mówię że nie wiem na jak długo mi pozwoli ta królowa, ale na razie... wracam do odpowiedzi o pisaniu nie w depresji lecz zarobkowym: a i gdybym miał pieniądze na utrzymanie to trzeba się czymś zająć gdy się wybrało trwać jeszcze.

Baudelaire w *Moim obnażonym sercu* stwierdza, że trzeba pracować gdy nie z zamięłowania to przynajmniej z rozpaczy bo gdy dobrze roztrząsnąć praca mniej nudzi niż zabawa, no tak, dodałbym tylko że ta praca powinna być trochę jednak i zabawą. A co jeszcze mógłbym uznać jako w pewnym stopniu moje: *Pawanę* i opowiadanie *Jest było*

będzie, a z wierszy: *Adieu* i parę urywków innych wierszy, a i dwa lub trzy całe wiersze tego debiutanckiego tomiku, nie chcę mi się tu ich wymieniać. *Nie wierz nikomu* wtrącając że miało to być tylko rozwinięcie, poszerzenie o tło, opowiadania *Nie wiem co ci powie*, zacząłem w ataku depresji, jako tę konieczność robienia czegoś, depresji nasilającej się, cofającej, gdy i leki, znów powracającej, były to lata 80–83, e dość o tym... już kończę, zaraz pójdiesz, chcę jeszcze coś o tych moich, zamknąć już to, tamta książka wydana w roku 67 pod tytułem *Ajol*, mówiłem już że źle tam jest podtytuł do *Laora*, ale i źle jest kolejność trzech części *Ajola* miało być: *Ajil*, *And*, *Listy*, mówię tu z przecinkami ale to miało być czytane bez przecinków, uczyłem się w gimnazjum angielskiego i jakieś tam słowa angielskie znam i wiem co to znaczy *and*, dali mi tego *Anda* na początek, niby że tak lepiej, przedziej ktoś może kupi tę pomyloną książkę gdy zaraz na początku zobaczy *Anda* co po wydrukowaniu w „*Twórczości*” był trochę omawiany i ja byłem wtedy trochę znany, Maria Kuncewiczowa przekładając jego fragment do książki *The Modern Polish Mind* dała tytuł *Ando* sądząc widocznie że w tym dzikim zbolszewizowanym kraiku, w tym peerelu, nikt z młodych nie zna ani jednego słowa w obcym języku, a przecież ja ten tytuł świadomie, jest to urwane imię Andrzej a zarazem angielskie *and*, a w języku angielskim jest to samo, *And* jest urwanym imieniem Andrew, gdyby tę książkę chciał ktoś kiedyś jeszcze wydać to chciałbym aby *Ajol* był w tym niezmiennym porządku a zmienić chciałbym tytuły dwóch części, że całość byłaby *All And Jol*, to trzy imiona: *Al* to urwane na przykład Aleksander, *And* już wiadomo, a *Jol* urwane od imienia Jolanta, prawdziwe imię autorki tych listów, bo to autentyczne, było inne, lecz obojętne to imię byle było wyraźnie żeńskie, a *Jol* dlatego że brzmieniowo imiona *Al And Jol* jakby składają całość: *Ajol*, więc to trzy imiona a zarazem *Al i Jol*, ten *All* pisany tak z dwoma 'el' bo angielskie *all*; bo naprawdę wszystko, cały ten *Ajol*, jest w tej pierwszej części do której tylko dodatek: *and Jol*; gdy gdzieś czasem ktoś mnie wspomina to jako autora *Anda*, jest on owszem z tych moich ale na upartej można by go usunąć i usunąć też *Jol* i ten wstęp do *Laora*, mówię: pisane prozą, to tak w uproszczeniu, wstęp do *Laora* jest przecież wyraźnie tekstem dramatycznym. Skończyłem. Możesz już iść. Gdy jestem z kimś, z kimś rozmawiam, depresja cały czas czyha mówiłem jest za progiem, odsuwa się, by uderzyć gdy zostanę sam, ale jestem już zmęczony tym

mówieniem, to dobrze, i już noc, ty wyjdiesz, ja chwilę potem na tę moją przechadzkę i powrót i środek nasenny... kiedy znów przyjdiesz gdy mamy to ciągnąć?

L: Za parę dni, a może pojutrze, umówimy się, zawiadomię cię, wpadnij zresztą do redakcji, wychodzisz przecież i w dzień...

C: Wiesz, co jeszcze byłoby to moje?: słowa do piosenki Salvatore Adamo *Niech pada śnieg*, zapomniałem jak ten tytuł jest po francusku; myślę o tym od lat, od pierwszego jej usłyszenia, na szczęście nie znam francuskiego, no my tu w Polsce wszyscy znamy jakieś tam francuskie pojedyncze słowa to tak chyba już od dziecka, ja przynajmniej, więc i pewne słowa tej piosenki, lecz na szczęście nie składają mi się w zdania, ta piosenka to dla mnie coś jedno z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających, i od razu była, ona i głos tego śpiewającego ją chłopca, jak coś moje, nasuwa się tu, jak z Bursą biedziliśmy się nad pewnym sonetem, jeszcze o tym powiem, ona jest trochę jak ten w końcu nie napisany przez nas sonet, była i jest jak moja, tylko mi tam ktoś słowa napisał po francusku, od tych wielu lat usiłuję je czasem przetłumaczyć, w jakichś jaśniejszych i dotkliwie smutnych chwilach, które czy mi się jeszcze zdarzą, będę jeszcze próbował... dobrze, kończmy, idź...

Kraków, grudzień 1994